Waldemar BORZESTOWSKI

OPOWIEŚĆ O OJCZYŹNIE, KSIĘDZE I OJCU, KTÓREGO PORWAŁY DEMONY

> Pismo święte jest jak przewodnik dla przypadkowego turysty, który ma mało czasu i bardzo sprecyzowane zainteresowania. Dzięki niemu można znaleźć własną ścieżkę wśród tysiąca ścieżek [...] mały kącik, z pozoru lichy, a jednak w sam raz na przeczekanie niejednej burzy. Mój kącik jest tu, w Polsce.

Śniłem o śnie głębokim jak śmierć, o stole zimnym i lataniu nad nim, o niemożności uwicia sobie gniazda we własnym ciele, kiedy przestało być ciepłe, o sercu, które zniknęło, o oczach utkwionych w ślepym zwierciadle sufitu, o swojej bezradnej nagości, o nocy głębokiej jak studnia. Zupełnie nieznajomi ludzie stawali u moich stóp, byli martwi, jak ja w moim nieszczęsnym śnie, lecz wiedzieli, że leżąc przed nimi na stole do obmywania zwłok, pozostaję żywy. Rozmawiali o nieśmiertelności albo ściślej – o życiu wiecznym. Zapewniali mnie, że istnieje ono i Bóg, dlatego że gdy jedno, to i drugie. Starali się być bardzo logiczni.

Urodziłem się przy cmentarzu, w czasach, kiedy cmentarze zamieniano w parki i boiska do kopania piłki. Karmiłem wiewiórki otoczony przez umarłych, między pochylonymi przez czas nagrobkami, główną aleją w dół, jeździłem na rowerze, najpierw cztero- potem dwukołowym. Zimą, tą samą trasą, poruszałem się na sankach szybkich jak wiatr. Doświadczając życzliwości tam leżących, obdarowywałem opuszczone mogiłki wśród starych drzew zebranymi gdzie bądź kwiatami. Niedługo potem nagrobki rozpłynęły się we mgle październikowej, wyparowały jak rosa, połknęła je ziemia-matka. Nie mogłem inaczej o tym myśleć. Spychacz i koparka – to nie mieściło się w mojej głowie. Park, który tam powstał, dziś cieszy moje dzieci. Tak to jest. Być może, gdyby chcieć zachować wszystkie cmentarze, nie pozostałoby miejsca dla żywych.

Śmierć – cóż śmierć, ach śmierć, no śmierć – w dniach mojego dzieciństwa znów stała się wątpliwym przywilejem starców. Czasy krwawe były za nami, żniwa zakończone i kosa Białej Pani zakopana. Po zimie mordu, kiedy – jak mawiali ludzie Średniowiecza – ziemią władał szatan, nadeszła kolejna wiosna ludzkości. W mojej rodzinie prawie wszyscy przeżyli wojnę. Powrócili z piekieł – to cud, bo przecież nie powinni, tylu zginęło. Oni też mieli zginąć. Dziadek powstał z martwych, przybył z obozu koncentracyjnego, z głębin Niemiec, i odtąd aż do końca swoich dni był dla zbliżającej się z roku na rok, rozwijającej się w nim z choroby na chorobę śmierci twardym przeciwnikiem. Ignoro-

wał jej obecność i nie ustępował ani dnia. Zakochał się bowiem jeszcze jako numer 35943 do szaleństwa w życiu, takim, jakie ono było, zanim odebrał mu je mroczny czas. Po powrocie zapalenie cygara, zjedzenie obiadu, pójście do ogrodu lub ze mną na przechadzkę po parku potrafił zamienić w święto. Było bardzo świątecznie w naszym domu. Nie potrzebowaliśmy dodatkowych świąt do tych, które sami umieliśmy sobie wyczarować. Tak, tak, dorastałem w rodzinie czarodziejów i mam cichą nadzieję, że czasami sam potrafię trochę poczarować z dobrym skutkiem.

Do domu, w którym kiedyś mieszkałem, przychodzę zazwyczaj podczas pełni. W naturze bowiem istnieje, o czym zapewne wiecie, silny związek wszystkiego ze wszystkim. Księżyc na przykład jest od kalendarza, a pełnia oznacza, że powinienem pójść w gościnę do mojej mamy. Pozostaję na noc, śpię w łóżku twarzą do okna. Rozgrzewam swoje miejsce. Czasami rozmawiam z przeszłością, czytam w ścianach i podłodze sympatycznym atramentem utrwalone zdarzenia. W pokoju jest podczas grudniowych nocy zimno, tak zimno, że do snu kładę się w skarpetkach, otulony kołdrą i ciepłym kocem. Kiedyś, gdy wiatr wywiał ojca w dalekie strony – mówiło się też, że porwały go demony – pojawiła się u nas w domu najprawdziwsza w świecie bieda. Nie pamiętam dokładnej daty ani godziny, kiedy zapukała do drzwi. Jedno wiem – została. Czasami myślę, że była od zawsze. W opowieści mojego ojca o dwóch księgach, jednej – do której zapisują ludzi dla bogactwa, i drugiej – dla biedy, ja zawsze tkwiłem w tej ostatniej. Sam się tam umieszczałem. Przegrywałem w szachy, więc pomyślałem – przegram też w życie. Nie lubiłem tej opowieści ojca, właściwie żadnej z jego opowieści. Wolałem już tę z dni po Rosz Haszana, zwanych Strasznymi Dniami lub Dniami Pokuty – Jamin Noraim. Przypominała ona o sprawiedliwym sądzie, któremu poddani są wszyscy ludzie, tak bogaci, jak biedni. Bóg otoczony serafinami zasiada na tronie w centralnym miejscu swojej biblioteki, pod sufitem ogromnej budowli wszechświata i stosownie do zasług zapisuje ludzkie losy w księdze żywota lub śmierci. Każdy, kto pragnie doznać miłosierdzia, powinien w tych dniach żałować za swoje grzechy i naprawić co się da. Dla wielu to ostatnia szansa. Dlatego w Nowy Rok witano się słowami – abyście byli zapisani na dobry rok. Brzmiało to prawie jak zaklęcie.

Kiedy umarli moi dziadkowie, jedno po drugim w odstępie dni trzydziestu, wyobrażenie Boga otoczonego stertami ksiąg z liczydłem przy nodze zaczęło prześladować moje sny. Myślałem o tym bezustannie. Kochałem dziadków i nie mogłem wybaczyć Bogu, że postąpił z nimi tak, jak dotąd zwykł postępować z innymi, obcymi. Oszukał mnie, jak ojciec, który pewnego dnia powiedział do mnie na peronie przed odjazdem – czekaj, i wiedział już wtedy, że nie mam po co czekać. Na pewien czas odłożyłem modlitwy do futerału, jak skrzypce, szkoda mi było czasu na strojenie, na gimnastykę palców, na słowa, muzykę słów, których nikt nie słuchał. Przygotowywałem się powoli do latania. Gniazdo robiło się dla mnie za ciasne. Serce łomotało w skroniach. Szybko się

ożeniłem i zacząłem pracować. Porwał mnie wiatr, ten sam, co ojca, ale inny. Zegar, mój przyjaciel, poganiał mnie do pociągów, zakładałem więc torbę podróżną i czapkę, a potem było wiele nocy i turkot kół pociągu po torach, jak kołysanka. Nuciłem pieśni chasydzkie, aby nie stracić ducha, pośród pól i lasów, mijając miasta i wioski, szukałem swojego przeznaczenia. Śpiewałem je, bo były wesołe, a poza tym tylko w ten sposób potrafiłem się modlić nie narzekając. Poznawałem kraj. Wpadałem do Krakowa na dwa, trzy dni, do Lublina na dzień, w Białymstoku mam rodzinę, więc zostawałem trochę dłużej. Pozwalałem się nieść. Przed nocą, po całym dniu latania po mieście z mapą, lecz prawie na oślep, przysiadałem jak gołąb w pobliżu grobu cadyka Horowitza na starym cmentarzu w Lublinie, z wysoka spoglądałem na mknące drogą szybkiego ruchu samochody, na miejsce, ślad po cieniu nie istniejącego już Maharszalszul, po Wieniawie – kolebce wielu żydowskich aniołów. Grzejąc w dłoniach kamyk znad morza, myślałem o oczach Jasnowidza, które mogły mnie widzieć w promieniu stu kilometrów. Czy to możliwe? A niby dlaczego niemożliwe? Świat musiał być mistyczny, jeżeli moja wiara miała mieć smak, a życie sens.

Któregoś popołudnia, przed samym Kazimierzem w Krakowie, pijąc w jakimś barze na rogu z wielkiego kubka ciepłe mleko, doznałem olśnienia. Smak mleka, jego zapach, ilość ogromna i słońce na niebie okrągłe jak sadzone jajko i bardzo, bardzo czerwone oraz miejsce tuż obok serca pewnego umarłego świata podziałały na mnie, wyrwały z odrętwienia. Obudziłem się i odtąd rzadko zasypiam. Warto żyć – powiedziałem, tylko tyle i od tej chwili w moim sercu grają najlepsi weselni klezmerzy. W tamtym czasie bardzo wiele podróżowałem, o takich jak ja mówiono kiedyś rajzender – dziś tu, jutro tam. Po naszemu akwizytor – słowo, od którego dostaje się gęsiej skórki. Pocieszyć się mogłem, że sprzedaję książki, a więc nie muszę ze swoim towarem biegać po mieszkaniach i biurach, gdzie w nadmiarze mają rozkładanych noży, latarek wodoszczelnych albo plastikowych skrzynek na warzywa, że chodzę do księgarń i hurtowni książek, a to są miejsca najodpowiedniejsze dla mojego towaru. Ale handel z całą pewnością nie stał się moim żywiołem. Niechaj mi to będzie wybaczone. Nauczyłem się jednak dzięki tej pracy, ba, musiałem się nauczyć przyjmować wszystko, co dawał mi los: tanie hotele, gdzie na noc szafą zastawiało się drzwi, a z łazienki do pokoju wracało przez okno, suche bułki, przegryzane podczas wędrówek od księgarni do księgarni, zanim litościwy zegar wyszeptał: „już dziewiętnasta" i przed nocą można było zjeść pierwszy posiłek, zazwyczaj zupę. Widziałem zakątki prawie zaginionego świata, o których czytałem, poznawałem je nie jak turysta, ale raczej jak uczestnik opisywanych wydarzeń. Jestem przekonany, że gdybym pojawił się na Krochmalnej, gdy mieszkali tam Singerowie, nikt nie zwróciłby na mnie większej uwagi. W moim płaszczu po starszym bracie, czapce z Wilna i worku podróżnym na plecach – wyglądałem, wypisz wymaluj, jak Litwak.

Długo trwało, zanim dostrzegłem w tej sytuacji bogactwo. Wcześniej często myślałem o sobie – jestem przeklęty. Moim jedynym oparciem w tych trudnych dniach była rodzina, bez niej, bez mojej żony, dzieci, matki, krążyłbym po świecie jak dybuk, na pozór żywy, a przecież umarły. Na sobotę i niedzielę zawsze przyjeżdżałem do domu – ciężko pracując, umiałem docenić trwałość wśród zamętu, ciepło po wielkim chłodzie. Tutaj usypiały na jaśku w kształcie liścia miłorzębu moje czarne myśli. Wiedziałem, że w tym jednym, jedynym miejscu jestem gorąco wyczekiwany. Mój dom – moja ojczyzna – życie.

Zacząłem z dnia na dzień, z godziny na godzinę na powrót odczytywać Biblię, po kawałku i od początku do końca, po kolei. Czytałem ją bezustannie. Zabierałem w podróże i nosiłem w tekturowym etui. Pismo było trochę za duże do kieszeni, ale w podróżnej torbie, która zastąpiła po roku worek, przygotowałem dla niego specjalną przegrodę. To mój świat pomyślałem – stąd wszyscy wyszliśmy, jak z ogrodu Eden. Rozkładałem je na kolanach, czasem z przejęciem, czasem ze zmęczeniem, czytałem modląc się, czytałem zasypiając. Może po kartkach z Pisma, papierowym moście, przejedzie kiedyś Mesjasz na białym koniu wprost do ziemi Izraela?

Skąd wyruszy? Kto wie – może z Międzyrzeca, gdzie jaśniał Dow Ber Magid, czyli Kaznodzieja: niechaj błogosławione będzie jego posłannictwo, albo z Korca, gdzie żył rabbi Pinchas: oby obroniły nas jego zasługi, albo ze Złoczowa lub ze Zbaraża, może z zacnych poprzez obecność rabbiego Mordechaja Niesuchojeżów. Miejscowości znamienitych jest w okolicy dostatek. Można wybierać. Mój kraj wziął przecież swoją nazwę od hebrajskiego „polin” – miejsca odpocznienia, przystanięcia; dokładnie tak samo nazywa się przedsionek w synagodze. Tutaj w Średniowieczu dotarli z Niemiec uchodzący przed prześladowaniami Żydzi, stąd niemal wszyscy wyruszyli w parę wieków później do nieba. Wszyscy należymy do pokolenia wędrowców, setki, tysiące lat – naukowcy dokładnie obliczyli ile – trwa nasz pochód przez dzieje. Od słowa „Bereszit”, od „Na początku”.

Nie potrafię żyć teraźniejszością nie myśląc o wieczności. Wystarczy przecież tylko odetchnąć głęboko, przymknąć słodko oczy, zaczerpnąć ze źródła słów, choćby z Szir ha-Szirim, a już po drugiej stronie rzeki widać, zrazu niewyraźnie, jak unosi się ku błękitom, jak oddycha, biegnie zielonymi pagórkami Galilei, gdziekolwiek rzuciłbym spojrzenie, mistyczna ziemia. Przybywam do niej, jak uczeń kabalistów z Safed, aby patrzeć, chciałbym wejść tam przez otwarte okna moich oczu, przez serce i dłoni dotykanie czułe, lecz wiem dobrze, że lata wędrówki przez pustynię uczyniły mnie podatnym na zawodzenie wichru, na obce kulty – wstyd się przyznać. Moje pokolenie, tak myślę roniąc łzy, należy jeszcze do śmierci, następne – kto wie? Wszystko w rękach Pana. Mnie, być może, musi wystarczyć samo patrzenie, więc jak niewidzialny motyl wędruję wzdłuż Jordanu i przy brzegach Genezaret, na stokach Hermonu, niczego nie mogąc dotknąć, nigdzie nie przysiadając dla odpocznienia.

Zdarza się też, gdy chwytają mnie za gardło ponure noce, że wysyłam stąd tam swoje sny, zamykam je w kopertę, zaklejam starannie, całuję, bo są płochliwe i wrzucam do pocztowej skrzynki. Wciąż nie mogę uwierzyć, że za ileś dni, sam nie wiem ile, trafią, czarodziejską mocą samolotu uniesione, do Jerozolimy. Samochód pocztowy szczęśliwie będzie je wiózł pod dobrotliwym okiem Boga, w samo południe tak złotym, jak kopuła meczetu Qubbet as-Sachra. Listonosz będzie je niósł po bruku kamiennym starej dzielnicy, kwadratowym jak hebrajskie literki, od domu do domu, aż trafi pod właściwy adres. Dobre słońce zwróci wolność moim snom. Ulecą. Moje sny są jak gołębie pocztowe – nigdy nie zdarzyło się, aby zgubiły drogę, wracają do miejsca swego urodzenia, jak ja do swej matki tuż przed pełnią albo podczas pełni. Napatrzą się, nacieszą, nasycą jak powietrzna gąbka, a potem łapią pierwszy wolny wiatr na północ i lecą, przez krainy Sefardów, gdzie dzisiaj wojna. Czekam ich powrotu, leżę z otwartymi oczami, czekam jak roślina wody, jak ogień tlenu. Jerozolima. Pragnąłbym kiedyś móc ujrzeć ją, jak teraz Gdańsk, o wschodzie słońca, ulegając namiętności utrwalania w sobie jej wizerunku tak pięknego, jak ten z kiduszowego kubeczka, który będąc dzieckiem odkopałem wśród pomidorów, z ogrodowej ziemi. Była to jedyna cenna rzecz, jaką kiedykolwiek w swoim życiu znalazłem, nigdy nie spodziewałem się, jak wielki będzie miała wpływ na moją świadomość. Oczarowała mnie wizja miasta – centrum świata, jak kiedyś krzyżowców, jak tylu, tylu poprzez wieki i teraz.

Niedawno zauważyłem, że minęła pierwsza moja młodość – dwanaście lat mojego małżeństwa upłynęło w spokoju i radości, urodziła mi się córka Wiosna, a potem syn o imieniu Dar Boży. Nie nauczyłem się patrzeć zbyt daleko w przód, jak każdy ubogi na tym świecie staram się czerpać radość z teraźniejszości i ufać Bogu, bo jest on moim jedynym oparciem wśród możnych. Nie wybiegam myślą w przyszłość. Boję się śmiechu Asmodeusza nad człowiekiem nalegającym, by szewc, od którego kupił buty, zapewnił go, że wytrzymają bez naprawy siedem lat. Władca demonów dziwił się jego nadmiernej zapobiegliwości i szydził z przekonania, iż tak długo zdoła korzystać ze swojego nabytku. Już dawno zrozumiałem, że nie muszę osiągać celu, aby być szczęśliwym. Dziś myślę tylko o drodze, nurcie rzeki niosącym nas w nieznane. Wędrowanie to duża radość dla prawdziwego wędrowca; dyscyplina, tak konieczna podczas podróżowania, wyrabia w nas smak. Pismo święte jest jak przewodnik dla przypadkowego turysty, który ma mało czasu i bardzo sprecyzowane zainteresowania. Dzięki niemu można znaleźć własną ścieżkę wśród tysiąca ścieżek, właściwe miejsce wśród tysiąca miejsc, mały kącik, z pozoru lichy, a jednak w sam raz na przeczekanie niejednej burzy. Mój kącik jest tu, w Polsce.

To miejsce, gdzie się budzę, cząstka energii, rodzaj ciepła, fala ode mnie do mnie – dziś życie zaczyna się dla mnie niemal zawsze w tym samym miejscu. To błogosławieństwo po tylu podróżach. Miejsce, i to, że powracam. Mógłbym przecież, ofiarowawszy duszę Bogu, nie otrzymać jej z powrotem, nie obudzić

się i – idąc za głosem Jusufa al Masudiego z chazarskiej księgi – zagubić się w labiryncie ludzkich marzeń i koszmarów, gdzie jakże często trafiają poeci. Dlatego kładąc się nabieram do ust modlitwy. One śpiewają za mnie i może ratują moje grzeszne życie przez swoje wstawiennictwo. Byłoby mi żal rozstawać się z błogosławionym tygodniem. Myśl, że powtarza się on, taki sam od początku świata, zadziwia mnie i oszałamia. Ileż wydarzeń przypisanych zostało niedzieli, ileż poniedziałkowi, co mógłby opowiedzieć o sobie piątek! Od kiedy postanowiłem mniej dociekać, a uważniej patrzeć, lepiej słyszę słowa Tory. Można się ich uczyć także od wróbelka i ślimaka, można wyjść na ulicę Mariacką, w pobliżu kościoła Najświętszej Marii Panny, gdzie w grudniu spada najbardziej puszysty śnieg i gdzie leci, leci najwolniej – stać i patrzeć. Moje ciało, twoje ciało to litera, jej fragment albo próżnia, biel, po której gonią się nasze przeznaczenia, jak dzieci na łyżwach po zmarzniętym stawie. Tora to także smak, na przykład herbaty z cytryną albo miętowego cukierka, zapach choćby niemowlęcia, choćby kwiatów kwitnących na wiosnę. Nauczyliśmy się czytać, a nie nauczyliśmy się słuchać i patrzeć. Tysiąc razy opowiedziana historia o ofierze Izaaka nikogo już nie porusza. Kto dziś wierzy w rozstąpienie się Czerwonego Morza, słup ognia, taniec kościotrupów? Niezwyczajne historie nie dają się opowiadać zwyczajnie. Moc ich tkwi bowiem w tajemnicy. Każdy, aby zrozumieć ich sens, musi doświadczyć – wystarczy poszukać. Wszystko bowiem, o czym kiedyś napisano, dzieje się także dziś obok nas.

Kiedy głos kantora śpiewającego Kol Nidre unosi się, macha w jego ustach skrzydełkami kolibra, może się zdarzyć, że pęknie mu serce ze wzruszenia – tak mawiano, sam słyszałem.

Pomyślicie pewnie – ryzykowne zajęcie śpiewać historie, modlić się przed zaśnięciem, powierzając swoją duszę dłoniom Boga. Powiem więcej, ale ze śmiechem – ryzykownie jest żyć i dawać życie. Pozostawajmy jednak bez lęku, moi kochaneńcy, w końcu jesteśmy stworzeni do wieczności, jak źdźbło trawy albo okruch nieba. Nie przemijamy, budząc się wśród nocy na szept zegara gotowi do odlotu.